

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Kołnierz z lisa

Miecz, na który w wyreżyserowanym przez Marię Spiss „Ajasie” Sofoklesa kreujący tytułową rolę Błażej Peszek samobójczo nadziewa półnagie ciało swoje – już kiedyś widziałem. Precyzyjnie zeznając: w 1973, na jesieni, w kinie Kijów. Wychowawczynie wzięła nas na film „Krzyżacy”. I właśnie wtedy pierwszy raz zobaczyłem dwa takie gołe miecze. Ulrich von Jungingen – wielki mistrz zakonu, a przy okazji świnią – przysyła je Władysławowi Jagielle dla kurażu.

Jakim cudem krzyżacki oręż ze średnio-wiecznych łąk pod Grunwaldem wyładował na starożytnych piachach pod Troją, gdzie toczy się akcja tragedii Sofoklesa? Czy Ajas, wielki niczym Giewont wojownik grecki, w wolnych chwilach nieładzko długiego obłęzenia Troi lubił sobie poczytać dzieła Sienkiewicza, a specjalnie „Krzyżaków” – i właśnie stąd miecz u Spiss? Ciekawy to byłby trop intertekstualny. Nieprawdaż? Owszem, ale poszerajmy jeszcze.

Mit i Sofokles uczą: zbroja Achillesa, która po śmierci Achillesa przypaść miała najdzielniejszemu z greckich wojowników, przypadła Odysowi, dlatego chorobliwie ambitny Ajas wściekł się ostro, bardzo ostro i w szal popadłszy – wyrznął stado baranów, tusząc, że wypruwa flaki niewdzięcznym druhom swoim. Ocknąwszy się – samobójstwo popelnia. Decyzja o pochówku nie będzie jednoznaczna, bo też niejednoznaczna jest moralna ocena czynu. Podobno sama Atena dotknęła Ajasa zgubną szajbą... No właśnie...

Może to nie Ajas, lecz bogini wojny była szczerą entuzjastką Trylogii w ogóle, a w szczególe historii o bolesnym polskim losie Juranda ze Spychowa i o trudnej miłości Zbyszka do Jagienki? Może więc Spiss, skądś wiedząc o czytelniczych namiętnościach Ateny, starożytną tragedię trojańską – w ramach cyklu „rewizje/antyk” wystawioną – wzięła i dzielnie zrewidowała grunwaldzkim żeliwem bitewnym świni z krzy-

żem na plecach? Może dzięki głowie Spiss nie ma już Sofoklesa, bo jest Henryk Sofokles, co mieszka sobie w Obłęgorku i spokojnie pisze powieść „Edyp, syn Tuhajbeja”?

Prawda jest inna. Niestety. Inna i nieśmieszna. Jakim cudem w Starym Teatrze grunwaldzki miecz na trojańskim piachu wyładował? Krócej: dlaczego miecz? Odpowiedź jest pytaniem. A niby dlaczego nie miecz? He? Miał się chłop zabić? Miał. Zabił się? Owszem. Więc w czym problem? Mieczem się przebił, bo w magazynie był akurat miecz. Jakby akurat była maczuga Rumcajsa, to by się załatwił maczugą Rumcajsa; jak model F-16 – to modelem F-16; jak rower Szurkowskiego – to rowerem Szurkowskiego. Szprycha świetnie wchodzi w gardło. Itd.

Lękam się tego „luźnego kalafiora” inscenizacyjnego. Lękam się, bo grunwaldzki miecz w trojańskiej tragedii wyładował na zasadzie ponurego cudu obojętności oka. Od lat młodzież reżyserska godzi się na sceniczne paprochy. „Wesele” w nowoczesnym kiblu? Obojętne. Golfowe kije w „Hamlecie”? Obojętne. Kałasznikowy w „Księdzu Maraku”? Obojętne. Saksofon tenorowy w komedii Fredry? Obojętne, obojętne i raz jeszcze – obojętne. Byleby szło jakoś. Jak u Spiss.

Rozrasta się dziś to inscenizacyjne bielmo, ta jaskra fatalna. Pęcznieje estetyczna nonszalancja reżyserskiej młodzieży, potwornie pęcznieje i nikt z młodych nie chce już pojąć teatralnej prawdy odwiecznej, że nonszalancja estetyczna zawsze nieuchronnie i błyskawicznie obraca się w nonszalancję myślową. Tak, ściśle jak u Spiss. Sofokles? Co z niego zostało? W co stoczył się „Ajas”?

U Sofoklesa à la Spiss, obok miecza grunwaldzkiego – moc innych pereł. Hiphopowe portki na bosym Peszku. Mógłby być kombinizon Małysza, ale trudno. Hiphop też cool. Tekmessa (Lidia Duda) w fitnessowym dresie. Mogłaby być zbroja samuraja, ale trudno. Odyseusz (Zbigniew Ruciński) w garniturze i z karkiem w kołnierzu z ciemnego lisa. Cóż

za pyszna sierść! Ta kita, te łapki dyndające, ten sprasowany pyszczyk, te oczka wylazłe z orbit! Podobne arcydzieło kuśnierskie wisiło ostatnio w futrzarskim na Grodzkiej. Genialna skóra, choć Bogiem a prawdą, z karnacją Rucińskiego bardziej kompatybilne byłyby jasne nutrie. Ale trudno.

Wreszcie – Zygmunt Józefczak jako Teukros. Mucha nie siada: w kraciastej marynarce do spodni w paski i na fikuśnych szelkach – istny batiar lwowski z niego! Szczepko i Tońko w jednym Józefczaku! Odległa w czasie i przestrzeni „Lwowska fala” – w niezawodnym Zygmuncie krakowskim, przez kolegów zwanym Zyga. Aż dziw, że w finalnej scenie sądu nad trupem Ajasa Teukros nie wstał, nie strzelił szarmancko szelkami i nie zaśpiewał, zaciągając kresowo: „Jak zarobim dwadzieścia złotych, to zrobiemy wielki bal”...

Czy koniecznie muszę mówić, w co się Sofokles obrócił po wdepnięciu w tak bezładną kupę paprochów? Młodzi chyba poważnie sądzą, że ich wizualne wynalazki są przeźroczyste, że dziś w teatrze kształty i barwy już nie układają się w sens konkretny. Muszę rozczarować: gdy się paprochowo myśli, kształty i barwy na scenie, niestety, dalej układają się w konkretny. Otóż – w konkretny bezsens.

Jako się rzekło, batiar Zyga nie zapiał z lwowska. Żal. Za to weszła sprzątaczką z mopem, choć mogła wjechać na filcowej kozie. Weszła i jęła ścierać czerwoną farbę, co w roli krwi ofiary grunwaldzkiego miecza – jak Filip z konopi błysnęła na obitym gierkowskim skajem stole trupich obrad. Nie wytarła do końca. I słusznie! Popieram! Jak się nie napaskudziło – nie należy całej winy brać na siebie. W końcu dyrekcja – niedaleko. Tylko piętro wyżej.

Narodowy Stary Teatr. Scena w Muzeum. Sofokles „Ajas”. Adaptacja i reżyseria Maria Spiss. Scenografia i kostiumy Łukasz Błażejewski.